Janina Łagoda

Polityczny zamęt w kraju, to autorski patent rządzącej zjednoczonej prawicowej formacji ustawicznie targanej rozsadzającymi ją odśrodkowymi siłami, a ostatnio dodatkowo wzmocnionymi atakiem internacjonalistycznego bakcyla. Rzecz może wydawałaby się normalna, gdyby nie fakt, że w tych partyjnych peregrynacjach, gdzie prym wiedzie prawa i sprawiedliwa partia, nie idzie o dobro Polski, lecz o fizyczne bycie u władzy bez ideowych przesłanek. Pryncypialnym zawołaniem pozostaje propagandowy, zgoła nieuczciwy wytrych zakleszczony w okrzyku: dobra zmiana, interpretowanym na różne sposoby, co dodatkowo pogłębia myślowy chaos zafundowany Najjaśniejszej przez tę formację realizującą sobkowskie pragnienia jednego człowieka. Cierpią obywatele. Międzynarodowe otoczenie zaś apeluje o zaprzestanie demolowania demokracji w kraju nad Wisłą i podejmuje środki mające uchronić ludowładztwo przed kastowym egoizmem.
Rządzący miast pochylić się nad życzliwymi uwagami, objawiają butę usprawiedliwiając ją obroną suwerenności, tak, jakoby Rzeczpospolita znalazła się w przededniu wojennych zmagań. Kłamliwość owej nieroztropności została po wielokroć potwierdzona, zarówno w krajowym, jak i unijnym formacie, zwłaszcza tym o materialnej formule, bez czego nie byłoby m.in. przecięć wstęg oddawanych do użytku inwestycji z pokaźnym wspólnotowym wkładem. Rząd tzw. dobrej zmiany bez żenady uczestniczy w tych uroczystościach ignorując donatorów. Partyjne sobkostwo bierze górę. Pieśń skautów hołubiona przez dzisiejszych władców: wszystko, co nasze Polsce oddamy…, jest sloganowym i nieszczerym punktem na partyjnych zlotach. Patriotyzm to wspólne dobro. Sztuką zaś jest umiejętność jego użyźniania, a sposobów na to wiele. Inaczej będzie ugorem marniał.

Nierozważne boje

Politycy w nadętych bataliach tracą energię, eskalując konfliktowe nastroje na modłę stadionowych fanatycznych zachowań. Fatalne to myślenie o Polsce, bo koliduje z głoszonymi ofertami na spokojne i dostatnie życie dla wszystkich. Warunkiem podstawowym, aby idea stała się realnością musi zostać w porę okiełzana i pozbawiona propagandowych niedorzeczności. Roztropność to ważki budulec demokracji. Politykierska estrada jest nieodgadniona, a już na pewno ta w rodzimym wydaniu, która jest inna od tych, gdzie demokrację się szanuje. Polskie swawolne polityczne podwórko, inspirowane społecznymi konfliktami osiągnęło bodaj olimpijskie wyżyny niezgody. Cierpi społeczeństwo, ale trener z warszawskiej Nowogrodzkiej nie ustaje w szlifowaniu kondycji swoich żołnierzy. Skuteczność stosowanej przez niego socjotechniki jest bezprzykładna i, co zatrważa, znajduje aplauz u sporej części mieszkańców kraju. Nie jest to jednak przejaw charyzmy zwykłego posła, bo tutaj deficyt, lecz efekt jego sklepikarskich umiejętności żonglowania detaliczną dystrybucją stanowisk z dostatnimi apanażami. To bodaj jedyny rynsztunek żoliborskiego prezesa. W tym zaprzęgu mnożenia urzędowych stanowisk usiłuje kontynuować marsz pod transparentem odnowy Rzeczpospolitej. Ale coraz częściej napotyka rozmokłe mielizny, a w grząskim podłożu wstawanie z kolan, to niebywała trudność, zwłaszcza kiedy to stawy chroboczą zaś dodatkowej asekuracji niedostatek.
W tej chwili polityczna atmosfera w kraju zbliżyła się ku parametrom spotęgowanego smogu,

gdzie zamiera swobodny, wolnościowy oddech, a wspomagających respiratorów deficyt. Taki stan rzeczy zafundowała społeczeństwu dobra zmiana. Nie wnikając w istotę tego partyjnego hasła, to już na wstępie tłoczą się wątpliwość co do jego semantyki. Nie zawiera też odnośnika objaśniającego złą zmianę. Posiłkuje się zaledwie enigmatyczną formułą, że wszystko co dotąd to złe, zapominając, że autorzy tego werbalnego chwytu wówczas też aktywnie funkcjonowali. Ba, nawet momentami rządzili państwem. Wytykanie poprzednikom błędów wcale nie oznacza, że nastał czas idealnych rządów. Władcy usiłują zamroczyć niedostatek własnych umiejętności sloganem o winie poprzedników w stylu: to nie my, lecz oni. Szkolne tłumaczenie, ale z licencją nowogrodzkiej kamaryli. Taka to już ich wygórowana poprzeczka. Nie ustają w szukaniu winnych dla usprawiedliwienia swojej nieudolności i rychło ich znajdują. A są nimi, poza poprzednikami w rządzeniu, dzisiejsze opozycyjne partie oraz wykonujące dobrą robotę stowarzyszenia, organizacje pozarządowe etc.
W tym obrazie topnieje honor Nowogrodzkiej, bo tam z natężeniem objawia się bojaźń przed utratą władzy. W takich okolicznościach brzytwa może też ratować. Partyjny egoizm skutecznie przyćmił troskę o państwo, które na przestrzeni wieków wielokroć traciliśmy i to właśnie głównie za sprawą braku narodowej zgody. Dzisiaj jeszcze nie ten czas, ale nie należy ignorować zarówno krajowych, jak i międzynarodowych emocji oplatających Rzeczpospolitą. Larum chwilowo nie grają, lecz nastała już pora wysyłania przyjaznych wici na wszystkie strony, bo w dzisiejszym bitewnym teatrze klasyczne okopy są egzotyką.
Ostatni to bodaj czas na konsensus zarówno w granicach państwa wyznaczonego nam przez mocarzy w połowie lat czterdziestych ubiegłego wieku, jak i we współczesnych międzynarodowych relacjach. Pozostawanie w stanie permanentnego konfliktu ze wszystkimi i o wszystko jest schizofrenicznym objawem słabości, drapowanej desperacją mającą przysłonić nieporadność w administrowaniu państwem. Jawi się więc pytanie: po co zdobywać władzę, jeśli nie potrafi się jej sprawować ku zadowoleniu ogółu. Nieskuteczność takiej strategii została wyczerpująco opisana w podręcznikach historii. Rządzący ją wzbogacają i to w stylu bliskim odnotowanych przypadków instynktownego rzucania się w przepaść, jak przykładowo owych czworonogów z mostu w szkockim Overtoun. Problem dotąd nie wyjaśniony, co wcale nie oznacza, że mogą pojawić się nowe rozpacze, a instynkt samozachowawczy jest czasem motorem samobójstwa (St.J. Lec – 1909-1966). Bądźmy przy nadziei, że rządzący nie pójdą takim tropem. Warunek jest banalny. Otóż należy porzucić beznadziejne boje w ojczyźnianych szrankach i podjąć społeczny dialog. Ale czy te dobre intencje, które przyjmie papier lub mównica mają szanse na ziszczenie się? Dzisiaj odpowiedź rysowana jest dość wyraziście: nie ma pogody dla prymatu dialogu nad rokoszowymi pomysłami rządzących.

Partyjne nieprzejednanie

Nawoływania do zorganizowania okrągłego stołu, przy którym miałoby dojść do konsensusu pomiędzy ekstremalnie zwaśnionymi stronami jest z gruntu naiwnym pomysłem, bacząc na partyjne ruchy Nowogrodzkiej ignorujące wszelakie koncyliacyjne sugestie opozycji. Na pewno trudnym dla elektoratu lewicy było zgłębienie sensu odbycia tzw. okrągłostołowych rozmów z udziałem rządzących po tym, jak ci ostatni już wcześniej uchwalili projekt ustawy o prezydenckich wyborach, odrzucając w pogardliwym stylu poprawki opozycji. Konia z rzędem temu, kto potrafi przekonywująco objaśnić tę przypadłość. Można ją chyba tylko roztrząsać w metaforze rozmowy dla rozmów. Kordialne gesty tam serwowane pozostawały w ostrości do butnej praktyki codziennego niweczenia społecznego dialogu, którego oczekuje społeczeństwo.

Propagandowa formuła spotkania w ocenie wielu obserwatorów była abstrakcyjnym zabiegiem ze wskazaniem na korzyść Nowogrodzkiej. Jeśli w takiej formule dysput nie uczestniczy aktualny depozytariusz klucza do władania Rzeczpospolitą, to daremne żale, próżny trud…, posiłkując się poetyką kaliszanina, Adama Asnyka (1838-1897).
Odmieniana przez przypadki potrzeba siadania przy okrągłym stole deprecjonuje rangę tego pierwszego, niepowtarzalnego mebla, tj. Okrągłego Stołu (6.2.-5.4.1989 r.), którego historyczne postanowienia są dzisiaj postponowane, a był to jeden z niewielu sukcesów własnych Rzeczpospolitej. Dlatego też nie przystoi żonglować tak doniosłym faktem przy okazjonalnych politycznych bitkach. Nie ma potrzeby konstruowania imitacji tamtego mebla. Bez wątpienia sprawą gwałtowną jest powstrzymanie dzisiejszej upiornej degrengolady demokracji, tej zdefiniowanej przy tamtym oryginale, a dzisiaj ignorowanej przez rządzących. Bo jak inaczej odczytywać nagły przypływ sympatii do tego mebla, kiedy to wówczas wyklute przy nim idee są dzisiaj ignorowane.
Hipokryzja jest swawolą, ale też ma granice. Czyżby dobre intencje wypełniające blat tamtego Stołu okazały się bezużyteczne? Chyba nie, ale problemem jest zgłębienie doniosłości tego mebla bez kantów. W przekorze do historycznych ustaleń pozostaje nieokiełznana żądza władzy ignorująca potrzebę czynienia dobra. Niszczenie egoizmu nie wymaga historycznych doświadczeń, lecz zwyczajnej refleksji nad własnym jestestwem i szczerym określeniem swoich powinności wobec państwa. Do tego wystarcza istniejące wyposażenie wypasionych gabinetów rządowych urzędników, co nie zawsze przystaje do ich intelektualnych kompetencji. Stolarskie wymysły niczego nie zmienią. Problem w tym, aby w dusznej atmosferze codzienności nastał dialog, zrozumienie, odstępstwo od partyjnych zacietrzewień, społeczna wrażliwość, szacunek do międzynarodowych zobowiązań etc. Są to naturalne odruchy wszystkich tych o propaństwowych aspiracjach. Okazuje się, że podczas rządów dobrej zmiany nagle objawił się ich niedobór. Są sugestie, że na Nowogrodzkiej giełdzie nastąpiło tąpnięcie, a w wyobraźni zauszników świat i rodzima opozycja truchleją. Wybujały egocentryzm nie zawsze pomaga w nawrocie do poprawnego interpretowania rzeczywistości, zwłaszcza w kontekście postępującej globalizacji.
Nieszczęściem Polski jest nieprzejednanie liderów partyjnych formacji zasklepionych we własnym ego. Abstrahowanie od wartości wspólnych wzmacniających macierz jest zachowaniem kainowym. Partyjny egoizm miota Najjaśniejszą, a ona w matczynej wyrozumiałości tworzy warunki dla funkcjonowania wszystkich partii, licząc w skrytości na wektorowe wspieranie mocarstwowych aspiracji kraju. Kolejny to nasz paradoks.
Tak jak wcześniej, tak i dzisiaj sukno państwa jest szarpane. Górę biorą moce odśrodkowe. Szatkowanie społeczeństwa stało się priorytetem dla partyjnych swawoli. Może byłoby to strawne pod warunkiem, że w tych korporacyjnych rywalizacjach o różnym stopniu zacietrzewienia, miejsce poczesne zajmowałyby wspólne dla społeczeństwa interesy. Z tym problem. Okazuje się, że im więcej werbalnych zawołań o umiłowaniu ojczyzny, o dialogu przy okrągłych meblach, o wojennych i powstańczych daninach krwi, tym mniej czynów na rzecz mocarstwowości kraju. Abyśmy się tu czego lepszego doczekali, idąc prozą Henryka Sienkiewicza (1846-1916). Wola narodu wprawdzie decyduje o partyjnych notowaniach, ale też liczy na stosowną satysfakcję za urnowy gest. Powyborcze nadzieje zazwyczaj fikcją procentują.
Wydaje się, że w bitewnych międzypartyjnych opiniach, polska wersja demokracji w europejskich rankingach stała się uciążliwym projektem, bo nasiąknęła rodzimą niezgodą wtłoczoną w rujnujące porzekadło: my albo oni. Monolit staje się iluzją. Taktyka partyjnych

rodzimych ugrupowań ten trend promuje; może bezwiednie? Walka o polityczne wpływy jest normalnością, lecz dobro państwa wyznacza jej brzegi. Dla partii rządzącej, ale i opozycyjnych ugrupowań również ideowym nakazem jest wzmacnianie jego fundamentów, a nie wystawianie kraju na pośmiewisko, jak to ostatnio u nas się dzieje. Partie polityczne znalazły się w bokserskim klinczu i, jak dotąd, nie znalazł się arbiter, który położyłby kres bratobójczemu zwarciu.
Po stronie rządzącej partii nie słabnie pragnienie wszechwładzy, co przeraża, kiedy to już nie radzi sobie z efektywnym zarządzaniem państwem w zdobytych przez siebie segmentach. Obezwładnianie opozycji i niezależnych organizacji ważących na demokracji jest straceńczą marszrutą. Może właśnie dlatego piętrzą się trudności w efektywnym administrowaniu państwem. Chodzi też o sferę dyplomatycznych związków z innymi państwami, a nie tylko modelowanie naiwnych międzynarodowych ukłonów wobec wybranych mocarzy, którzy na globalnej szachownicy nie odpuszczają własnych interesów, co oczywiste. Autarkia w wydaniu Nowogrodzkiej jest rudymentem. Nieszczęściem Polski jest to, że lider rządzącej partii zafascynował się władzą dla władzy, popadając w zapętlenie. Brnie w straceńczym kierunku, lekceważąc wszelakie racjonalne sugestie. W natłoku tych emocji rozsądek topnieje. Naiwne są oczekiwania, że partia rządząca będzie szczerze przytulała się do odrębnych zdań opozycji oraz pozaparlamentarnych stowarzyszeń, bądź głosów obywateli przedkładających eksperckie dezyderaty. Dzisiaj pogody na to nie ma. Myśli wydalane z umysłu prezesa są adoptowane z ewangeliczną wiarą przez totumfackich apostołów, prześcigających się w pochlebstwach dla ich autora, rzucając na szalę godność własną. Srebrniki nadal utrzymują wysoki giełdowy kurs. Niewiele to ma wspólnego z demokracją, ale z zaczynem autorytaryzmu już tak.
W najnowszych dziejach RP były takie momenty, a ich kres nie zawsze łaskawie traktował apologetów tamtych rozwiązań. Ważne to wskazanie dla obecnych. Oby w porę wyciągnęli z tego wnioski. Chwilowy bezrefleksyjny entuzjazm jest po czasie poddawany obrachunkowym analizom. Ich wyniki, jak dotąd, mało kiedy chwalą tamtych protagonistów. Niektórzy z nich stają przed wysokimi sądami, a innych wrzuca się do wspólnego worka odpowiedzialności zbiorowej. Warto, aby dzisiejsi władcy zgłębili istotę chociażby poprzedniej epoki, tj. PRL-u i transformacji, jaka po niej nastąpiła, a wówczas być może zaprzestaną posiłkować się jednoznacznymi ocenami i zastanowią się nad życiorysami własnymi i swoich najbliższych. Warto więc, aby współcześni nieprzejednani mieli historię kraju przed oczyma, a nie z tyłu głowy i w roztropności wyciągali poprawne wnioski. Może wówczas górę weźmie dbałość o demokratyczne wartości, a zafundowany zamęt zostanie na wieki zażegnany. Przeciwna opcja może wieszczyć tragedię. Pora więc przekuć partyjny egocentryzm na rodzimy konsensus, a wówczas doczesność suwerena będzie przyjemniejsza.

My albo oni

Wiele wskazuje, że los kraju został zakleszczony w osobowych zaimkach, które w swojej pragmatycznej niewinności zostały wplecione w nienawistne polityczne atawizmy odległe od upragnionej jedności. Identyfikacja motywów tych zaszłości jest trudna. Z ich rozszyfrowaniem zapewne mieliby problem nawet ci znamienici od Enigmy. Odrębność stosowania w polskiej mowie arcyważnych wyrazów: my, oni jest niebezpieczna, zwłaszcza w obliczu społecznych przesileń, kiedy najskuteczniejszą formułą winien być przysłówek razem. Ale i on podlega partyjnej reglamentacji.
Partyjne zadufanie niweczy to, co ważne dla kraju i jego mieszkańców. Ta rodzima przywara

wielokroć pozbawiała nas suwerenności i tym razem jej nie wzmacnia. Odmienność opinii jest czymś naturalnym; niekiedy wręcz pożądanym. Rzecz w tym, aby strony sporu łaskawie pochyliły się nad nimi, a nie miotały obłudnymi szrapnelami. Wówczas przedpole dla konsensusu staje się irrealizmem.
Znaleźliśmy się w sytuacji o wygórowanych parametrach społecznych animozji, kiedy to rządzący niemal z urzędu ignorują rzeczowe sugestie innych, a to przecież znacząca reprezentacja społeczeństwa. Zasępiona wizja Nowogrodzkiej tego nie uwzględnia i wpisuje się w założony przez siebie paradygmat: my lub oni. Jeśli obozy polityczne korzystają z tej wojennej apretury, bo partyjni taktycy tak sobie obmyślili, to rządowi tego już nie wolno czynić, bowiem jest on na usługach wszystkich obywateli bez względu na polityczne sympatie, również tych obojętnych wobec rozgrywek na górze. Wszyscy mają identyczne prawo do życia tu i teraz, bo kraj nie jest własnością partii. Przechodnią pałeczkę łatwo zgubić, jeśli lekceważy się społeczeństwo, skupiając się na gabinetowym plotkarstwie, a nie zaokiennej realności.
Przygnębia, że nawet w chwili urzędowo oznajmionej epidemii (20.3.2020 r.) i ogłoszonej wcześniej (11.3.2020 r.) przez WHO (Światowa Organizacja Zdrowia) pandemii, władcy postępują tak, jakby byli wyrocznią w tym nader niebezpiecznym czasie. Buńczuczne słowa i przyporządkowane im nie zawsze racjonalne czyny, nie wspominając o frenetycznych statystykach w polskiej rządowej edycji, rychło są krytycznie weryfikowane, bo i tym razem polska epidemia zdaje się być odmienną od światowej. Okazuje się, że co niektóre uczynki w tym obszarze popełniane wobec państwa przez jego funkcjonariuszy mają karny posmak i społeczną negatywną ocenę, zaś prokuratorskie wiwisekcje obstrukcją stoją. I w tym punkcie polityczność również rozsadza naszą wątłą demokrację. Smutna refleksja.
Pocieszeniem są obfitością rozkwitłe inicjatywy pozarządowych, samorządowych i obywatelskich aliansów na rzecz pomyślności RP. To buduje i łagodzi partyjniackie prawe i sprawiedliwe zaimkowe zaklęcia. Rządzący lubują się w wojennych bataliach pod warunkiem, że w nich zwyciężają, zaś porażki nerwowo ignorują, ubierając je w idealistycznie wybujałe myślowe konstrukcje, mające złudnie łagodzić niepowodzenia. W rozrzucie zainteresowań władców jest wiele załgania, jak chociażby dotyczące traktowania narodowych rocznic. Władza przykładowo fetuje wrześniową klęskę roku 1939, a dewastuje zwycięski maj 1945 roku, co ubolewania godne.
Partyjniactwo w zarządzaniu państwem nie opuściło naszej krainy. Nadal determinuje dziś i przyszłość Polski wedle zawołania: moja opcja musi być górą. Nawoływanie do jedności bez zdefiniowana polskiej racji stanu, a to niełatwa sprawa, staje się kolejnym agitatorskim pustosłowiem, oddalając państwo od autentycznej mocarstwowości. Pamiętać też należy, że świat nie stępił swojej wizji, a nawet romantyzm szanuje. Nasze wyobrażenie o świecie jest inne i dystansuje nas od światowych, lecz nade wszystko unijnych demokratycznych trendów. W tym ostatnim przypadku wystawiamy na próbę intratne finansowe i intelektualne korzyści wypływające z bycia w tej wspólnocie.
Wydaje się, że rządzący podążają na skróty ku klęsce. Negatywnych przykładów z historii wiele, a refleksji brak. Dość przytoczyć kanibalistyczny partyjny taniec z końca II wojny światowej w sprawie geograficzno – politycznego statusu powojennej Rzeczpospolitej. Topiliśmy się w zaściankowych, partyjnych odrębnościach, nie zważając nawet na niekiedy życzliwe wobec nas sugestie mocarzy. Partyjni liderzy byli sobą tak zafrasowani, że nie raczyli zwrócić uwagi na te oferty, które ważyły na statusie naszego kraju. Podjęto więc za nas decyzje, a one nadal są żywe i mają swoją cenę, o czym rządzący często zapominają.
Nowogrodzką fascynuje pogrążanie ludowładztwa i lekceważenie pragnień znamienitej części

społeczeństwa oraz międzynarodowego demokratycznego otoczenia. Jaki wódz, taka strategia z podporządkowaną jej taktyką. Emocje wzięły górę, zaś rozsądek zawisł na kołku. Dla totumfackich nie zanika zauroczenie myślami swego guru i samowolnie pozbawiają się krytycyzmu, co przeraża oraz wzbudza politowanie, zwłaszcza wobec młodym wiekiem, którzy na zasadzie owczego pędu oddali się bez reszty partyjnym nakazom z gratyfikacjami zawartymi w ministerialnych lub spółkowych daninach. Przed nimi świat, który wcale nie musi być zaklęty w partyjnych parametrach. Honor i jego upadłość, to drastyczny przypadek. Przyszłość kraju jest konglomeratem wewnętrznych czynów o wielowymiarowych obywatelskich aspiracjach, uwzględniających relacje wobec światowej wspólnoty. Państwo coraz bardziej zaczyna przypominać dawne czworaki wyżynające format folwarcznego ubóstwa, tak materialnego jak i umysłowego. Kraj po latach optymizmu znalazł się w historycznie sprawdzonym punkcie egoizmu rządzących i po części zamroczonego tą wizją elektoratu. Trafiliśmy na wewnętrzno - międzynarodowe rozdroże, jak to już drzewiej bywało. Ten, kto wcieli w życie spolegliwość w naszym państwie, co swego czasu promował prof. T. Kotarbiński (1886-1981) i co nadal jest aktualne, ten z dużym prawdopodobieństwem zasiądzie obok króla Szwecji podczas noblowskiej uczty. Narodowi pozostała cierpliwość w oczekiwaniu na refleksję ze strony rządzących, ale nade wszystko elektoratu, który po urnowym akcie zaczyna objawiać frustrację, miast wcześniej retrospektywnie uzasadnić swój wyborczy znak. Może wreszcie zacznie wyrastać źdźbło nadziei na lepsze jutro. Oby posucha temu nie przeszkodziła.

* * *

Sokrates (ok. 470-399 p.n.e.) doszedł do wniosku, że tylko głupcy nie mylą się nigdy, a Seneka Starszy (54 p.n.e.-39 n.e.) uważał, że błądzenie jest rzeczą ludzką, zaś św. Augustyn z Hippony (354-430 r.), doktor Kościoła, nie miał wątpliwości co do tego, że błądzenie jest diabelską rzeczą. Te i wiele innych refleksji, empirycznie dowiedzionych w znacznym stopniu przylega do dzisiejszego stanu zarządzania Rzeczpospolitą. Bez obrazy, ale w państwie mieniącym się za demokratyczne, nakazowe myślenie nie może być zasadą, a już na pewno w sytuacji, kiedy tzw. zwycięska partia zdobywa mniej głosów od sumy oddanych na opozycyjne ugrupowania. W takiej sytuacji rządzącym pozostaje tylko pokora wobec reszty społeczeństwa, a nie buta i arogancja, bo to droga ku samozagładzie. I o tym doradcy guru, jeśli są tacy, pamiętać winni. Elementarną zasadą demokracji jest sprawowanie władzy przez obywateli, a nie partyjny aktyw. Licytowanie się rządzących z opozycją, kto jest szlachetniejszym demokratą, nigdy nie wyłoni zwycięzcy. Szermowanie zaś przez zwykłego posła argumentem, że opozycja nie dorosła do demokracji jest aberracją. Ten zarzut ma dwa końce i można go z powodzeniem skierować ku chwilowo administrujących państwem, czyli Nowogrodzkiej, a dowodów na nieradzenie sobie z rządzeniem jest dostatek. W tym bogatym zestawie niekompetencji można dla przykładu przytoczyć niedawny gest prezydenta RP i zarazem kandydata na powielenie przez siebie tego urzędu, który w uprawnionej formule, ale już pozbawionej prospołecznej refleksji, przekazał dwa miliardy złotych na propagandowe cele, mimo rzeczowych masowych apeli, wskazujących na konieczność darowania tych miedziaków służbie zdrowia. Po czym z żebraczym kapeluszem rapuje na rzecz finansowej pomocy dla szpitali. Dramat poplątany z kabaretem. Fakty są niezmienne, komentarze tak. Inny przypadek beznadziei łączy się z nieodbyciem, zarządzonych przez rząd pocztowym głosowaniem nad wyborem Prezydenta RP, a zrealizowane czynności przygotowawcze to niemałe złotówkowe koszty, i moralne również. Sprawcy tej nieudolności są wszem znani, ale rządowe usta milczą, parafrazując pieśń Jana Kiepury (1902-1966),

sosnowiczanina. Smutna to przenośnia, ale w polskich uwarunkowaniach, to powszedniość w traktowaniu losów ojczyzny. Dopiero po niewczasie następuje lament oraz poszukiwania winnych tragedii, mimo że w tym momencie znajdują się na wyciągnięcie ręki. Upływ czasu robi swoje. Nadal przecież są tropieni autorzy wrześniowej klęski i powojennych tragicznych rozpraw braci z braćmi. Politykierstwo zwyczajowo specjalizuje się w przeinaczaniu prawdy, broniąc szkodliwych dla kraju bastionów. Wydaje się, że łatwiej odbudować zburzone miasto niż zrujnowane zaufanie (Karol Bunsch, 1898-1987, krakowianin).
Wyborcza prezydencka kampania w edycji polityków z Nowogrodzkiej obfituje w niepojętą gamę naruszeń Konstytucji RP i mrowiem obrazoburczych przypadków traktowania zapisów zawartych w Kodeksie wyborczym. Trudno sobie uzmysłowić władcę, który nie dostrzegałby ambiwalentności takich zachowań i silił się na bezprzykładne frazesy obrażające logikę w objaśnianiu niedorzeczności. Zastosowana przez rządzących formuła usprawiedliwiania swoich decyzji uwłacza godności logicznie myślącemu społeczeństwu, a przynajmniej jego znamienitej części. Ubliża też światowym kanonom demokracji. Bo jakże przykładowo zrozumieć fakt, że prezes partii i zwykły poseł oznajmia dzień wyboru Prezydenta RP, grożąc nieokreślonymi sankcjami tym, którzy będą się temu sprzeciwiać. Gdzie więc się podziały ustawowe organy państwa zarządzające kampanią wyborczą i czuwające nad jej przebiegiem? Potrzebna jest zatem gwałtowna obywatelska refleksja o konieczności zachowania tego, co najlepsze dla obywateli i kraju. Bez poskromienia wodzowskich ambicji zgubne sobkostwo będzie pogrążało Rzeczpospolitą.
Zapowiedziane przed laty nowogrodzkie wizje mające uszczęśliwić Rzeczpospolitą, może i były realizmem spowite, ale po latach uprawy popadły w niedorzeczne zapętlenie. Myśli wodza objaśniane przez totumfackich, z których każdy staje się z tej przyczyny co najmniej wiceministrem jest obarczone ryzykiem dalszej degrengolady państwa. Wyrachowane poddaństwo w swoim amoku prowadzi kraj na rozdroża, bo chyba nam jest już tak dane. A wydawałoby się, że w demokracji polityczna nawigacja działa sprawnie.

Janina Łagoda